Dodatek do „Gazety Narodowej“

z dnia 14 Października 1900.

Walka Amerykanek.

W chwili obecnej, gdy sprawa większości ministeryalnej w przyszłym parlamencie angielskim jest już rozstrzygniętą, pomimo że wybory trwać będą jeszcze dni dziesięć, publiczność salonów i klubów zajmuje się rozmaitemi następstwami, jakie utrzymanie się nadal zachowawczego stronnictwa u władzy pociągnie dla wyższych sfer towarzystwa.

W pierwszym rzędzie wymienić można posadę wicekróla Irlandyi. Nieraz mówiono, że powinna ona być zniesioną, i że Irlandya mogłaby być postawioną na tej stopie, co Szkocya i co Walja. Z drugiej strony nie należy zapominać, że gdy Anglia pozbawiła przed stu laty Irlandyę jej konstytucyjnego samorządu, zostawiła jej wicekróla, jako rodzaj kompensaty za skonfiskowany samorząd i że Irlandczycy mają prawo posiadać takiego dygnitarza, reprezentującego królowę.

Wytworzyła się w ostatnich czasach tendencya do przejednania sobie irlandczyków, zbliżując ich do tronu i zaszczepiając w ich sercach uczucia lojalizmu. W tym celu powstał naprzód projekt, ażeby zakupić wiejską rezydencyę w bliskości Dublina dla księcia Yorku, domniemanego następcy tronu, ażeby mógł przebywać kilka miesięcy corocznie w Irlandyi i zjednywać sobie sympatye miejscowe, a następnie powierzyć godność wicekrólewską członkowi rodziny panującej.

Do tego ostatniego właśnie zdarza się sposobność. Hrabia Cadogan, którego zdrowie podupada, pragnie coprędzej zrzec się tego dostojeństwa. Jest to magnat, dworak, osobisty przyjaciel i poufały księcia Walii i pragnie powrócić do Londynu, uważając Dublin dla siebie za rodzaj wygnania. Naturalnie otrzyma tytuł wyższy w hierarchicznej drabinie i jeżeli nie księciem, to niezawodnie zostanie margrabią. Olbrzymia jego fortuna, bo jest między innemi właścicielem całej południowo-zachodniej dzielnicy Londynu, daje mu dostateczną materyalną podstawę do dźwigania wierzchołkowych dostojeństw i zaszczytów.

Kto ma być następcą lorda Cadogana jako wice król Irlandyi? Oto pytanie, które zaprząta w chwili obecnej polityczne salony. Ci, co pragną, aby królowa posłała tam członka swej rodziny, nie tracili czasu, aby postawić kandydaturę księcia Argyll, jej zięcia. Gdy był jeszcze markizem Lorne, był wicekrólem Kanady i wywiązał się dobrze ze swego zadania i zarówno on, jak jego małżonka Luiza zostawili w Kanadzie dobre po sobie wspomnienia. Nic naturalniejszego jak to, żeby obecnie powierzono mu wicekrólestwo Irlandyi.

Jest jednak jedna trudność, a mianowicie majątkowa. Posady honorowe w Anglii są źle płatne i dygnitarze państwowi wybierani są z pośród bogatych warstw towarzyskich, ażeby z prywatnych swych fortun zaspokajali wydatki na reprezentacyę. Otóż nieszczęście mieć chce, że książę Argyll nie jest bogałym. Ojciec jego, stary i słynny książę Argyll zmarły przed kilku miesiącami w podżyłych latach, ożenił się był niedawno po raz trzeci z młodą frejliną królowej, i zapisał jej wszystko, co mu majorat zapisać pozwolił. Obecny książę Argyll, zięć królowej, ma olbrzymie ciężary majątkowe a dochody małe. Położenie jego, jako wice króla Irlandyi, byłoby tem trudniejsze, że ostatni wice królowie, jak margrabia Londondery, margr. Zetland, hrabia Haugton, hrabia Cadogan przyjmowali po magnacku i sypali szczodrobliwie pieniądzmi.

Niewiadomo, czy książę Argyll zechce królować w dublińskim zamku w tak odmiennych warunkach. Dlatego też salony londyńskie mają w pogotowiu innego kandynata. Jest nim młody książe Marlborough. Nie dał on jeszcze dowodu swych politycznych zdolności, ale okazał wiele praktycznego zmysłu, poślubiając przed paru laty córkę miliardera amerykańskiego, Vanderbilda. Młoda księżna Malborough zasługuje swemi osobistemi zaletami na sympatyę, jaką jej zgotowało wielkie towarzystwo angielskie, gdzie rodzina jej męża zajmuje przyczółkowe stanowisko.

Życie tej wielkiej damy zatrute jest rywalizacyą z inną amerykańską milionerką, panną Leibnerówną która poślubiła lorda Curzon, obecnego wicekróla Indyi. W salonach londyńskich owa „walka Amerykanek“ była przedmiotem ogólnego zajęcia. Nie było wątpliwości, że księżna Marlborough czuła się upokorzbną dominującem stanowiskiem, co się dostało w udziale jet rodaczce.

Najgorętszem jej życzeniem było zostać także wicekrólową. A oto zdarza się do tego sposobność. Wszystkie siły i wpływy potężnej rodziny Churchill-Marlborough wytężone są, aby jej życzenia zaspokoić. Tu przynajmniej pieniędzy nie zabraknie. Właśnie Vanderbild nadesłał córce mały podarunek pół miliona dolarów na upiększenie wznoszonego przez nią pałacu w Londynie. Jest to contre partie do takiejże sumy, nadesłanej przez p. Leibnera, gdy jego córka udawała się do Indyi. Łatwo zrozumieć interes salonów, do tej nominacyi ewentualnej przywiązany.

Perły i drogie kamienie.

Każdy ze zwiedzających tegoroczną wystawę wszechświatową paryską, znużony przeglądem zebranych tam dzieł sztuki i przemysłu i w ogóle okazów twórczości ludzkiej, powinien był dla wytchnienia zaglądnąć do pawilonu w którym pomieszczono nieobliczonej wartości okazy drogich kamieni i pereł.

W pawilonie tym rychło zapomni o znużeniu fizycznem, gdy wzrok jego zajmie wesoły i różnobarwny widok niezliczonych przepięknych dyademów, kolij, brosz, bransolet, kolczyków itd. itd. olśniewających zdziwione oko widza.

Co tylko przedsiębiorczość człowieka wydobyła w ostatnim dziesiątku lat z tajemniczego dna ziemi; szlachetnego, rzadkiego a drogocennego; wszystko to, efektownie opracowane i w piękne formy ubrane — zgromadzono i pomieszczono w tym oddziale.

Z najdrogocenniejszych okazów białych pereł — błyskotliwych brylantów — rubinów szmaragdów i szafirów, opalów o płomiennych barwach i cudownych błękitnych turkusów, ze wszystkich tych cudów ziemi i morza niezrównana zręczność i artyzm szlifierzy i złotników złożyła obraz przemysłu którego rozmiary imponują swą jakością i wartością nieobliczoną.

Wystarczy przypatrzeć się tylko twarzom pań i panów zwiedzających ten pawilon — a zauważyć każdy może dziwną zmianę wywoływaną widokiem tych nieprzebranych skarbów, które zadowolić mogą najwybredniejsze wymagania najkapryśniejszej kurtyzany — jak również najskromniejsze pragnienia skromnego dziewczęcia.

Cały ten oddział wystawy podzielić należy na dwie części; pierwsza to zbiór szlachetnych kamieni i pereł, druga — to obraz sztuki jubilerskiej i jej postępy co do oprawy i fasonowania drogich kamieni.

Z uwagi, że wszystkie drogie kamienie i perły — z wyjątkiem opalu, którego dostarcza Europa — pochodzą z dalszych części świata, słusznie nazwać można ten oddział wystawą pozaeuropejskim, bo pereł — dostarczają wschodnie Indye, Australia i środkowa Ameryka, — Azya, południawa Afryka i wyschnięte koryta rzek brazylijskich są ojczyzną dyamentów — rubin i szafir pochodzą z Birny, Siamu i Ceylonu, okazy starego szmaragdu to zabytki dawno już zasypanych kopalni jego a nowego dostarczają środkowa Ameryka i Ural. Opalu dostarczają Węgry, Australia i Meksyk a turkusów Persya i Syrya.

Lista tych okolic z których przemysł jubilerski czerpie materyały, przedłuża się od czasu do czasu, gdyż w ostatnich czasach dały Chiny światu — perłę różową a Japonia perłę — podłużną promienistą — której sławny Lalique — tak znakomicie nadaje kształty kwiatów

W wielu wypadkach, jak w Birmie i południowej Afryce przed objęciem w posiadanie miejsc obfitujących w szlachetne kamienie, trzeba było staczać krwawe zapasy z tubylcami, a nikt nie przypuszcza nawet, ile pracowników w kopalniach i na dnie morza, znalazło śmierć, wydobywając drogocenne kamyki.

Od piętnastu lat, zajęła perła pierwszorzędne miejsce w świecie mody.

Dyament już spowszedniał, więc perła stanęła na czele klejnotów.

Najwspanialsze i najdroższe okazy sznurów pereł, oglądać można na wystawach firm zażywających światowej reputacyi, jak Bocheron'a, Vevet'a, Chomet'a i Coulon'a, które nie tylko uderzają swą ceną wysoką ale i interesują doborem swych wielkości, jakości i tonu Trzeba było przedewszystkiem wielkich kapitałów wielkiej inteligencyi i znajomości rzeczy, a potem i czasu wiele, aby stworzyć kolekcye imponujące takie jak na wystawie.

Na szczególną uwagę zasługuje kolia perłowa — wykonana w pracowni Coulona, a składająca się z 20 sznurów pereł, z których każda 4 i pół grama waży. Pereł tych jest tam 3600. Od licznych okazów pereł wyróżniają się bardzo 2 sznury pereł przez Chomet'a z Paryża wystawione. Każdy z tych sznurów reprezentuje wartość około dwóch milionów franków.

Również bardzo ciekawe są modne obecnie tak zwane sautoir, długie łańcuchy pereł sięgające od ramion do bioder a nieraz aż do kolan, a wprowadzone w modę przez księżnę Galliera, która pierwszy raz na balu dworskim w Tuileriach ukazała się w tej ozdobie. Piękną jest również koja trzyrzędowa przez panią Tiers, zonę pierwszego prezydenta republiki wystawiona.

Wspomnieć jeszcze należy o kolczykach baronowej Rotszyldowej paryskiej, tj. o dwóch równych wielkością nieskalanie białych perłach ważących razem około 240 gramów. Od r. 1878, w którym je wystawiano po raz pierwszy, nic podobnego nie miał żaden kupiec na świecie.

Najładniejsze okazy pereł czarnych, przedstawiła na tegorocznej wystawie firma Verer, a to w efektownych oprawach jako brosze i pierścionki.

Z tego co się oku widza na wystawie tego działu przedstawia — wnosić należy — że wystawa pereł, kosztować musiała jubilerów francuskich bajeczne sumy, znaną bowiem jest rzeczą, że perły w ostatnich latach podskoczyły dwukrotnie, trzykrotnie a nawet dziesięciokrotnie w cenie. Ogromne rozmiłowanie się i gorączka Amerykanów w skupywaniu pereł doprowadziły do tego, iż handlarze w Indyach wprost bajeczne kładą ceny. Narazie zauważyć się daje niejaki zastój w handlu perłami, nie ma obawy jednak by spadły w cenie, gdyż bogaci mieszkańcy wschodu, uważają je za najlepszą lokacyę swoich kapitałów i perły ciągle skupują.

Perły mają oznaczać łzy wedle powszechnego zabobonu, ale dziś zdanie to stwierdzają chyba tylko ci, za ten klejnot płacą bajońskie sumy.

Najpiękniejsze okazy dyamentów posiada Boucheron z kopalni kimberlayskich i jagerfonteinskich. Oprócz całej kolekcyi począwszy od żółtych w różnych odcieniach aż do brunatnych — uderza między innymi dyament niebieski, wagi 22¹/₂ karata. Okaz to więcej interesujący niż piękny. Boucheron przedstawił zbiór grawirowanych dyamentów, które choć nie przedstawiają wielkiej wartości, przynoszą zaszczyt firmie, jako okazy smaku w wykończeniu tych przedmiotów sztuki jubilerskiej. Coulon zaprodukował niezwykle piękne szafiry między którymi jeden waży 162 karatów, Chomet zaś dał piękny zbiór cennych szmaragdów, Vever przedstawił bogaty zbiór biżuteryi dyamentowych przeplatanych perłami i kolorowemi kamieniemi.

Najpiękniejszym okazem dyamentu, jest wystawiony w osobnej szafie tak zwany „dyament jubileuszowy“ ważący 240 karatów tj. bilsko 60 karatów więcej od znanego z wystawy 1889 r. „Imperiala“. Jest również ładniejszym i droższym od „Regenta“ który tylko 132 karetów waży.

SECESYA.

Zaszczyt pierwszego wprowadzenia „secesyi“ w świat sztuki należy się malarzom paryskim.

Ostre jarzmo krytyki pod które Jury paryskiego „Salonu“ poddawała ich obrazy, nie podobało się wolnej dziatwie Apollina. I pewnego pięknego poranku zebrali się pp. „nieprzyjęci“, „refusés“, aby wydać następujący werdykt: „Skoro naszych obrazów nie chcą przyjmować na wystawę, to teraz musimy je dopiero zacząć wystawiać i to wszystkie razem!“ Odłączyli się od „Salonu“, zaprosili pięknie publiczność i publiczność przyszła, przyszła chętnie i z ciekawością.

Ludek jest wszędzie jednakowy i pędzi masami tam, gdzie „coś się stało“.

W ten sposób „Société des artistes français“ z „Palais de l'Indnstrie“, znalazło niebezpiecznego rywala na polu Marsowem gdzie rozbiło swoje namioty „Société nationale des beaux arts“. Efekt był piorunujący, tysiące Paryżan nawiedzało sale „nieuznanych“, chociaż nie brakowało na tej wystawie dzieł młodszych, częstokroć słusznie „zapoznanych“ malarzy, którzy chcieli przy cudzym ogniu upiec swoją chudą pieczeń, to jednak znaczną część secesyonistów stanowili artyści dobrze już znani i utalentowani.

O cóż więc szło właściwie, co się stało kością niezgody między „starszymi“ a „młodszymi“, jak ochrzczono strony wojujące?

W Paryżu była nią właściwie tylko surowość Jury, która broniła wstępu do „Salonu“ dziełom niedość technicznie ogładzonym, gdyż o żadnym „kierunku“ co do treści obrazów nie mogło być wówczas jeszcze mowy. Wszakże ówcześni malarze francuscy byli już wtedy w stosunku do innych zachodnio europejskich artystów „secesyonistami“, a francuskie obrazy z siódmego i ósmego dziesiątka lat bieżącego stulecia wyglądają obok współczesnych angielskich, niemieckich i innych dzieł sztuki zupełnie „nowo“, a przedewszystkiem artystycznie i mistrzowsko pod względem techniki.

Po niedługim czasie zaczęto uważać „Secesyę“ niejako za dalszy ciąg, za annex „Salonu“.

Całkiem inaczej miała się rzecz w Niemczech, gdzie naprzód „zrewolucyonizowała się“ młodsza generacya monachijskich malarzy z Franciszkiem Stuckiem na czele, wypowiadając wojnę akademickiej surowości. Tutaj mieszały się już inne, zasadnicze powody z technicznymi, że tak powiem, momentami.

Secesya monachijska zajęła w stosunku do „akademii“ o wiele ostrzejsze i bardziej szorstkie stanowisko, weszła w ścisły kontrast z kołami literackiemi i przybrała odrazu pewną charakterystyczną fizyognomię Południowi Niemcy, trzeźwiejsi i bardziej ociężali od Francuzów, zabrali się do rzeczy daleko niezgrabniej, aniżeli sąsiedzi z zachodu i okazali się „gruntowniejszymi“ od nich, a to właśnie dodało secesyi niemieckiej sporo niepotrzebnego pedantyzmu. Zawrzała walka, „Jugend“ stanęła „zasadniczo“ w obronie „wolności sztuki“, postawiła „program“ i stała się organem partyi.

Przywódca tej secesyi został już obdarzony profesurą akademii, inni krzykacze także się uspokoili. Franz Stuck, pamiętny roli profesora, pod wielu względami znacznie się umitygował, choć należy przyznać, że trzyma się obranego kierunku dość konsekwentnie, zachowując swoją odrębność.

Secesya monachijska usiłowała stworzyć nowy styl, t. zw. styl „modern“, a w dziełach secesyonistów objawia się nawet pewne powinowactwo stylu.

Ten „styl“ został właśnie przez szersze koła publiczności ochrzczony nazwą secesyi, acz kolwiek nie pochodzi ani z Monachium, ani też z Paryża i jest płodem angielskiego artystycznego przemysłu, w połączeniu z motywami amerykańskimi. Jest to styl kolejowo-wagonowy, pomięszany z motywami akwaryowymi, chaos przeróżnych, anatomicznych niemal kształtów, styl który poczyna być wprost międzynarodowym, a zwie się dumnie: „współczesnym“ „modern“.

Próbowano tu i ówdzie zindywidualizować ten artystyczno-koszarowo-uniformowy szablon i nadać mu jakiś charakter, jak dotąd jednak, niebardzo się to udawało. Ogólnie biorąc, jest secesya wszędzie jednakową; w Berlinie ma nieco więcej sztywności, w Wiedniu jest trochę jaskrawsza, w Monachium falista i pełna wykrętasów, w Belgii — dzika.

Wytwory tej secesyi zostały w Paryżu ochrzczone nazwą „stil Allemand“, albo też „Viennois“ a pogardliwe wzruszenie ramionami jest jedyną oceną z jaką się tam zwykły spotkać. Francuzi odznaczają się zbyt dobrym smakiem, aby mogli znaleźć upodobanie w takich wytworach „sztuki“. Pojęcie „secesyi“ nie jest i nie może bynajmniej być równoznacznem z pojęciem jakiegoś stylu, a w najczęściej dziś spotykanym sensie jest synonimem „modnego towaru“.

Ornamentyka w kształcie i kolorze, oraz kilk specyalnych form sprzętów stanowią całą jej zawartość, a nie należy zapominać o tem, iż olbrzymią grają w niej rolę setki starych motywów sztuki wschodniej, a w szczególności japońskiej.

Tżk zwana „sztuka stosowana“ jest jedynem polem, na którym wpływ secesyi najbardziej daje się odczuć; sztuka czysta wyemancypowała się rychło z pod tego niewolniczego jarzma.

ROZMAITOŚCI.

Bandyta Musolino, który przed trzema laty uciekł z więzienia, w ciągu tego czasu pozabijał wszystkich świadków, którzy przeciwko niemu stawali, a pozatem dwie osoby „przez pomyłkę“. Ogółem zastrzelił 16 osób. Na głowę jego nałożono 10.000 lir. Teraz podwojono tę sumę, ale nikt zapewne nie odważy się wydać opryszka w ręce sprawiedliwości. Ukrywa się on w górach Kalabryi. Cała ludność mu sprzyja, uważając go za ofiarę pomyłki sądowej. Jego współobywatele twierdzą, że w procesie wytoczonym mu w r. 1895 o morderstwo, wszyscy świadkowie złożyli fałszywe zeznania i dlatego został skazany na 18 lat więzienia. Matka bandyty umarła z rozpaczy, siostra również — nie dziw więc, że Musolino pomścił swą krzywdę i śmierć swoich najbliższych. Tak rozumują Kalabryjczycy.

„Incognito“. *„Journal de Débats“* pisze Bez gwardyi honorowej, bez berła, bez korony, spacerują królowie po wystawie, Niejeden trąci króla łokciem, nie wiedząc, że trąca króla. Po niczem króla nie można poznać i dlatego trzeba przypuszczać, że człowiek, który obok ciebie siedzi w omnibusie, ma w swem ręku losy Europy. Tak wałęsają się królowie niewidzialni, a jednak wszędzie obecni, pośród tłumów ulicy. Nie widać ich, ale każdy wie, że oni tu są. Powstają legendy. Poczciwi mieszczanie pokazują sobie w pobliżu bulwaru Montparnasse dom, otoczony parkiem.

Dom głuchy i tajemniczy. Opowiadają, że władca sąsiedniego, bardzo potężnego państwa przebywa w nim często a potajemnie. Wieść ta nabrała już ogromnych rozmiarów; fama uczyniła tego władcę właścicielem nawet już więcej domów w tej dzielnicy. Oto królowie, którzy przez cały dzień promienieją w swych urzędowych blaskach, znikają nocą ze swych państw i bieżą ukradkiem do Paryża; kameloci wiedzą o tem dobrze. Chłopacy, którzy otwierają drzwi pojazdów i ci, którzy o brzasku dnia roznoszą brukowe pisemka wołają do nich: ach! panie książę, daj mi kilka sous, bo jestem głodny!

A w ten sposób proszony, daje chętnie kilka sous, nie aby ulżyć głodowi, ale, że tak pięknie go poproszono. Aż przed kilku dniami zdarzyło się w pewnym lokalu, w którym każdego gościa jeżeli już nie księciem, to co najmniej markizem tytułują, iż pewnemu poważnemu panu z długą brodą ofiarowano tytuł tylko barona. Kelnerzy uparli się i pana z piękną brodą nazywali baronem, a do kupców, którzy obok niego siedzieli, przemawiali uroczyście: wasza wysokość, a nawet wasza królewska mość. A ów pan z piękną brodą uśmiechał się i widocznie bawiła go ta komedya. Był to... król belgijski.

Ucieczka księcia Kambodży. Paryż miał o czem mówić przez dni parę Bawiący na wystawie następca tronu Kambodży, książę Jukantor, zmuszony przez francuskie ministerym kolonii do opuszczania Paryża i powrotu do swego kraju, uciekł wespół z czterema osobami swego orszaku do Brukselli w okolicznościach następujących. Dwaj synowie króla Kambodży, Norodoma, stali na czele poselstwa, które pozornie przybyło do Francyi, aby towarzyszyć następcy tronu w zwiedzaniu wystawy, istotnie zaś aby wnieść przed sądem francuskim skargę na postępowanie gubernatora francuskiego w Indo Chinach. Książęta ci przyjęci zostali uroczyście na audyencyi przez prezydenta Loubeta. W kilka dni po przybyciu, po zwidzeniu wystawy i wzięcia udziału w paru bankietach urzędowych książęta wręczyli prezesowi ministrów długi memoryał, zawierający istny akt oskarzenia administracyi francuskiej w Indo-Chinach, a zwłaszcza gubernatora Doumera Memoryał ten, pisany w tonie bardzo ostrym, zapewnia, iż król Norodom traktowany jest jak najpospolitszy wasal, a nawet stać się musiał poprostu manekinem w rękach gubernatora francuskiego, że żołnierze francuscy rabują miasta i wioski Kambodży, nie oszczędzając nawet cmentarzy, że jeden z poddanych króla Kambodży za powtórzenie temu ostatniemu słów uwłaczających mu a wypowiedzianych przez prezydenta francuskiego był skazany na śmierć itp. itp.

Po otrzymaniu tego memoryału ministrowie francuscy uznali, że dalszy pobyt w Paryżu księcia następcy tronu kambodziańskiego byłby niepożądany, poczem minister kolonii zawiadomił go urzędownie, iż na parowcu Lloyda, wyjeżdżającym w dniu 23 zm. do Indo-Chin, są zamówione miejsca dla księcia i jego świty. Był to w uprzejmej formie kategoryczny rozkaz natychmiastowego opuszczenia Francyi. Następca tronu Kambodży począł sobie inaczej. Do Marsylii wraz z częścią świty wysłał swego sobowtóra, który w dniu oznaczonym wsiadł na okręt, wskazany przez francuskiego ministra kolonii, jako książę Jukantor, sam zaś z dwoma powiernikami wyjechał cichaczem do Brukseli, zkąd doniósł rządomi francuskiemu, iż oczekuje w stolicy Belgii na odpowiedź na memoryał. Jak długo to potrwa, niewiadomo, dość, że młody książę, postąpiwszy sobie tak „nie po europejsku“ dopiął celu: zwrócił uwagę ogółu francuskiego na stan rzeczy w Kambodży i dokuczył p. Doumerowi, przedstawicielowi Francyi w Indo-Chinach. Rząd francuski, zaskoczony znienacka komedyą z wyjazdem księcia a raczej jego sobowtóra na pokładzie wskazanego przezeń okrętu, nie wie podobno, co począć z tym fantem...

Monarchowie i strój. Książę Walii przywiązuje dużą wagę do ubrania. W rozmowie z cesarzem Wilhelmem, takie wygłosił zdanie: „Nikt nie ma prawa być zaniedbanym w ubiorze, a komu środki na to pozwalają, powinien iść za modą. Ładnie ubrany mężczyzna sprawia niemniej miłe wrażenie, jak strojna kobieta. Mężczyzna, ukazujący się w jasnym surducie o ciemnych spodniach jest zarówno śmiesznym, jak taki, który do czarnego tużurka nosi słomiany kapelusz. Ładne ubieranie się jest swego rodzaju sztuką, która powinna być uprawiana tak samo przez mężczyzn, jak i przez kobiety“

Król belgijski podczas swoich ostatnich odwiedzin u ks. Connaught, mówił: „Poznaję zawsze Anglików po dwóch oznakach: po okropnej francuzczyźnie i wytwornym stroju.“

— Wasza królewska mości — odparł mu na to ks. Connaught — i my poznajemy Belgijczyków odrazu: naprzód po ślicznym sposobie wyrażania myśli, a powtóre — po okropnym sposobie ubierania się.

Cesarz niemiecki takie wygłosił zdanie w tym względzie przed hr. of Lonsdale: „Gdy widzę człowieka źle ubranego, powiadam sobie: „Jesteś albo nieszczęśliwie zakochany, albo zmęczony życiem, albo też żaden krawiec nie chce ci kredytować.

34

Kto winien?

przez

Caruthersa.

(Ciąg dalszy.)

— Powtarzam raz jeszcze, że nie wzbudzał we mnie żadnego podejrzenia, dla tego to starałem się wszelkimi sposobami przeszkodzić, aby go nie aresztowano. Wiedziałem, że pozory przemawiają przeciwko niemu i że zostanie prawdopodobnie skazany. Omyłki sądowe zdarzają się tak często.

— Czy możesz pan przysiądz, że cię nie wynagrodzono za taką opiekę nad podsądnym?

— Mogę przysiądz, że mi pan Chetwynd nigdy nic nie dał, ani dać obiecał.

— Czy znasz go pan oddawna?

— Zobaczyłem go po raz pierwszy w dniu, gdy przyszedł do mnie po tę szkatułkę.

— I dla tak pobieżnego stosunku zdecydowałeś się pan na krzywoprzysięstwo?

— Nie, panie, uczyniłem to nie dla znajomego, lecz dla bliźniego, gdyż byłem pewien, iż jest niewinny.

Zeznawał następnie odźwierny domu, zamieszkiwanego przez pana Chetwynda w owym czasie. Przytoczył on dzień, a nawet godzinę, w której lokator opuścił swój apartament. Taka dokładność zdziwiła przewodniczącego.

Zapytał go, z jakiego powodu tak dobrze ten dzień pamięta

— To bardzo naturalne — odparł — tego dnia znajomi wzięli mojego syna, Gastona do hipodromu. Chłopak cieszył się okropnie, bo nigdy na żadnem widowisku nie był.

Takie objaśnienie wydawało mu się wystarczającem. Następnie, na pytanie przewodniczącego, odźwierny oświadczył, że ani on, ani jego żona nie widzieli, aby pan Chetwynd wychodził w dniu zbrodni na ulicę, lecz że oboje wieczorem spostrzegli, że ma rękę na temblaku, a gdy go pytali, bo mu się stało, odpowiedział, że wyskakując z omnibusu, stłukł sobie rękę.

Co zaś do pozycyi finansowej państwa Chetwynd, świadek zeznawał, że byli w złych interesach, że panienka poprzedniego dnia zastawiła bronzowe kandelabry, aby mieć za co kupić obiad.

— Zkąd to pan wiesz? — pytał prezes.

— Dojrzałem czubki kandelabrów, wychodzące z koszyka, z którym panienka szła na miasto po prowizye.

Zeznanie pozostałych świadków nie wykazało nic nowego, potwierdziło tylko wiadome mu fakty.

Prokurator zabrał głos i na mocy wiadomości zaczerpniętych w Anglii i we Francyi odtworzył całe życie podsądnego. Przedstawił go jako kalekę od lat najmłodszych, namiętnego gracza, niepoprawnego rozrzutnika, który zmarnował nietylko cały swój majątek, ale i fortunę drugiej żony i pasierbicy.

Będąc zrujnowanym, żył z jałmużny stryja, po którym wreszcie odziedziczył tytuł i fortunę. Smutne doświadczenia nie wykorzeniły w nim zgubnych namiętności; w dalszym ciągu grywał na totalizatorze, trzymał bilety loteryjne i oddawał się hazardowi.

Pewnego dnia dowiaduje się, że wygrał wielki los na loteryi nicejskiej, lecz niestety, bilet pozostał w skrytce szkatułki, która wraz z wielu innemi kosztowniejszymi przedmiotami poszła do lombardu.

Na szczęście dla niego, w wigilię tego dnia przybyła z Anglii jego starsza córka. Chciał wykupić szkatułkę za jej oszczędności zapewne.

Jakaż była jego rozpacz, gdy dowiedział się, że już sprzedana. Puścił się na poszukiwania. Dowiedział się wreszcie, że cenny przedmiot jest w rękach Bułgara. Bułgar ofiarował go pięknej kobiecie, sprowadzając tem jej nieszczęście. Obiecał, że użyje swych wpływów, aby ją skłonić do odstąpienia szkatułki dawnemu właścicielowi.

Podsądny nie licząc na skuteczność tego kroku, udał się jednak do nieszczęśliwej ofiary. Nieprawdopodobnem jest, aby ta kobieta, otoczona zbytkiem i szafująca pieniądzmi, zgodziła się oddać tak piękny gracik za marne kilkaset franków; musiała odmówić, co skłoniło podsądnego do użycia gwałtu.

Wszczęła się pomiędzy nimi walka; broniąc szkatułki pani Silwerow upadła i pociągnęła za sobą etażerkę. Wtedy to morderca schwycił ją za gardło lewą ręką, gdyż prawą miał skaleczoną i bezwładną.

Wina oskarzonego była tak oczywistą, że nie ulegało wątpliwości, iż wyrok będzie potępiający.

Jakże wreszcie wierzyć w uczciwość człowieka, który pomimo przywiązania do żony i dzieci, pogrążył je w nędzy dla dogodzenia swym nizkim namiętnościom? Czemużby oszczędzał życie osoby nieznanej, skoro stawała mu na drodze do znacznej fortuny?

Jego wysokie urodzenie i wykształcenie czyniły zbrodnię tem wstrętniejszą. Można było przyznać okoliczności łagodzące prostemu człowiekowi, zrodzonemu na niższym szczeblu społecznym, lecz nic nie usprawiedliwiało tego gentlemana, który pomimo ogłady i wykształcenia dopuścił się brutalnego przestępstwa.

Tak przemawiał prokurator. Łatwo sobie wystawić zdziwienie i oburzenie rodziny wobec takiego moralnego portretu jej bożyszcza. Pani Chetwynd przypuszczała, że oskarzyciel publiczny dostał chyba obłędu. Nawet obojętni ludzie, widząc szlachetną twarz podsądnego, nie mogli uwierzyć, że jest potworem.

Prokurator widząc, że przebrał miarkę, dodał:

— „Tak, jak gady ukrywają się pod najpiękniejszemi roślinami, tak samo brutalność i okrucieństwo podsądnego pokryte jest maską dobroci i uprzejmości.

„Być może, iż w swoim kraju rodzinnym, gdzie arystokracya depcze bezkarnie klasy ubogie, zostałby uniewinniony, choć wina jego jest oczywistą, lecz my nie czynimy różnicy pomiędzy warstwami społecznemi, nie uznajemy przywilejów urodzenia.

„Pozostańmy wierni dewizie: „Wolność Równość, Braterstwo". Niech nasi bracia z najniższej bodaj klasy nie mają prawa uczynić nam zarzutu, iż morderca uniknął kary dla tego tylko, że jest dobrze urodzonym i Anglikiem.

„Pełniąc swój obowiązek, nie potrzebujemy się niczego obawiać.

„A teraz, panowie przysięgli, skończyłem swoje wnioski i ufam w świętość waszej przysięgi.

„Uważam tak jak i wy zapewne, że ten człowiek nie jest godzien litości i że nie można zastosować do niego okoliczności łagodzących. Domagam się kary śmierci.

„Ja spełniłem swoją powinność teraz na was kolej, panowie".

Wśród grobowego milczenia, które zaległo po tej krwiożerczej mowie, odgłos stłumionych łkań doleciał do uszu podsądnego i zranił mu serce.

Po chwili obrońca zabrał głos w te słowa:

„Odmalowano oskarzonego jako dzikie, nieokiełznane zwierzę. Przyjrzyjcie mu się dobrze. Natura obdarzyła go urodą, rozlała na twarzy jego dobroć. Czyż można z taką twarzą być rozjuszonym tygrysem?

Na sali powstał szmer zaprzeczenia.

„Pan prokurator uznał za stosowne rzucić zbyt wiele cieniów na młodociane szaleństwa mojego klienta, szaleństwa, którego dopuszczają się prawie wszyscy młodzi ludzie na jego stanowisku społecznem".

Adwokat, poruszywszy uczucia słuchaczów, przeszedł do strony praktycznej.

„Niepodobna — mówił — aby morderstwo zostało spełnione w taki sposób, jak pan prokurator przypuszcza. Najdrapieżniejszy człowiek nie chwyciłby za gardło padającej na ziemię kobiety z taką determinacyą, aby nie zmienić pozycyi palców, a jednak sekcya wykazała, że zbrodniarz udusił swą ofiarę odrazu, jednem ściśnięciem. Świadczy to, że ofiara upadła, zanim morderca rzucił się na nią i prawdopodobnie zemdlała A jeśli straciła przytomność, to łatwo było porwać szkatułkę i morderstwo stawało się zbytecznem.

„Dalej, gdyby szkatułka z kości słoniowej stała na etażerce, to spadając, zbiłaby się tak, jak inne graciki, które znaleziono pogruchotane na ziemi".

Nie będziemy przytaczali dosłownie tej mowy, bardzo logicznej i pięknej. Powtórzymy tylko konkluzyę:

„A teraz, panowie — mówił obrońca — proszę was, abyście zastanowili się nad tem wszystkiem, na co waszą uwagę zwróciłem.

(Dok. nast.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki. Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.